

Eugeniusz Bartkowicz

Moje pierwsze spotkania z "wyzwolicielami"

Palestra 38/9-10(441-442), 130-138

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIA

Eugeniusz Bartkowicz

Moje pierwsze spotkania z „wyzwolicielami”

Mija 50 lat od wielkich wydarzeń historycznych, które rozegrały się na ziemiach polskich w roku 1944.

Były to: wkroczenie Armii Czerwonej na wschodnie tereny Polski oraz akcja „Burza” i jej ukoronowanie – Powstanie Warszawskie.

Wkroczenie Armii Czerwonej przyspieszyło wybuch Powstania i stworzyło drugi front walki z nowym przeciwnikiem, uchodzącym oficjalnie za sojusznika.

Warunki i metody tej walki były inne niż przeciwko okupantowi niemieckiemu, lecz cel przyświecał ten sam: odbudowanie niepodległego państwa polskiego.

O cel ten toczyła się walka z nowym przeciwnikiem prowadzona równoległe z Powstaniem Warszawskim i długo jeszcze po jego upadku.

Niniejsze wspomnienie, dotyczące początków tamtych wydarzeń, nie pretenduje swym charakterem do jakiejś ogólnej syntezy historycznej dokonanej „z lotu ptaka”; raczej odwrotnie, jest to spojrzenie „z dołu”, przedstawiające przeżycie jednego z wielu świadków historii, człowieka sprawującego niską funkcję w strukturach podziemnego państwa, który, w odróżnieniu od wielu innych, miał tzw. *łut szczęścia* – udało mu się przeżyć.

* * *

Czas i miejsce opisywanych wypadków to pierwsza połowa sierpnia 1944 r., gmina Żółkiewka, powiat Krasnystaw, województwo lubelskie, a następnie Krasnystaw i Lublin.

Teren gminy Żółkiewka (3-tysięczne miasteczko i 25 wsi) pokrywał się z terenem konspiracyjnej placówki: od początku roku 1940 – Związku Walki Zbrojnej, od roku 1942 – Armii Krajowej, a od kwietnia 1944 r. – Batalionów Chłopskich.

Przemianowanie na placówkę BCh pod koniec okupacji niemieckiej nie zmieniło podporządkowania organizacyjno-politycznego placówki i nastąpiło w ramach akcji scaleniowej, przeprowadzonej w kraju pomiędzy AK i BCh wiosną 1944 r. Byłem ostatnim dowódcą tej placówki.

Akcja scaleniowa zintegrowała obie organizacje podziemne, podporządkowane rządowi emigracyjnemu w Londynie, co było bardzo pożądane wobec zbliżającego się wkroczenia Armii Czerwonej na niekwestionowane nawet przez Stalina ziemie polskie.

Integracji tej sprzyjały: przeświadczenie, że wobec zagadkowego „sojusznika” wschodniego należy wystąpić

w sposób jednolity i zwarty oraz fakt sprawowania najwyższych funkcji rządowych przez działaczy Stronnictwa Ludowego (premier rządu emigracyjnego – Stanisław Mikołajczyk, zastępca delegata rządu na kraj – Adam Bień, delegat rządu na województwo lubelskie – Władysław Cholewa; delegatami powiatowymi byli przeważnie także działacze SL).

Należy podkreślić, że na terenie Lubelszczyzny (a jak dziś wiadomo również na innych terenach zajętych przez Armię Czerwoną) żołnierze AK i BCh oraz działacze podziemnego Stronnictwa Ludowego (czyli tzw. Ruchu Organizacyjno-Chłopskiego „ROCH”) wykazywali wobec zarządzeń i represji władz sowieckich zdecydowaną i jednolitą postawę i siłę oporu.

* * *

W końcu lipca 1944 r. zostały rozplakatowane na terenie województwa lubelskiego dwa brzemienne w konsekwencji obwieszczenia: Manifest PKWN oraz odezwa delegata emigracyjnego rządu polskiego w Londynie na województwo lubelskie Władysława Cholewy (pseud. „Łukasz”, „Paśnik”), wzywające podległe mu i pozostające dotychczas w konspiracji komórki i służby administracyjno-polityczne państwa podziemnego do ujawnienia się wobec władz sowieckich i tworzenia polskich organów administracyjno-porządkowych na wyzwolonych terenach.

Odezwa delegatury wzywała również do organizowania uzbrojonych służb bezpieczeństwa, zgodnie z zarządzeniami i rozkazami władz cywilnych i wojskowych polskiego rządu emigracyjnego, aby wobec władz sowieckich wystąpić w roli gospodarzy na swoim terenie.

PPR zaczęła już (w porozumieniu z władzami sowieckimi) organizować na terenie gminy Żółkiewka komórkę administracyjną i milicję, a nawet zajęła na ten cel główne budynki.

Postanowiłem więc – po naradzie z komendą placówki i porozumieniu się z zarządem SL (ROCH-a) gminnego szczebla – wykonać zarządzenie delegata rządu i powołać organy władzy terenu podległe delegaturze.

Przewodniczącym zarządu gminy został działacz SL Ignacy Borowiec, a komendantem posterunku naszej milicji podchorążym Jan Zdunek (pseud. „Zamorski”).

Posterunek liczył około 15 ludzi, uzbrojonych w broń ręczną i maszynową, a mieścił się w budynku szkolnym, naprzeciw posterunku milicji PPR. Obydwa posterunki wywiesiły biało-czerwone flagi i godła państwowe.

Na terenie gminy wytworzyła się sytuacja napięta, jak zwykle w warunkach „dwuwładzy”. Do incydentów na razie nie dochodziło, dzięki obustronnej taktyce „wymijania się”. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że taki stan nie może trwać długo i że albo nastąpi gdzieś „na gorze” porozumienie, albo PPR – przy poparciu Armii Czerwonej – przystąpi do likwidacji organów podległych delegaturze.

Zaznaczam, że przy ówczesnym braku dostatecznej informacji nie znaleźmy dokładnie ciężkich doświadczeń wileńskiej i lwowskiej AK, wynikłych z ujawnienia się i wystąpienia w roli gospodarzy terenu (a poza tym uważaliśmy, że na terenach na zachód od „linii Curzona” władze sowieckie będą postępowały inaczej niż na wschód od tej linii).

Wiadomo było w pierwszych dniach sierpnia, że w Lublinie i Chełmie toczą

się rozmowy pomiędzy sztabem marszałka Żukowa i PKWN a komendą okręgu AK i delegaturą rządu londyńskiego.

O przebiegu tych rozmów dowiedziałem się więcej po upływie około 4 lat w Warszawie od byłego delegata rządu Władysława Cholewy (którego znałem z czasów okupacji niemieckiej, gdyż był on wtedy dyrektorem Związku Rewizyjnego Spółdzielni i czasem lustrował spółdzielnię w Żółkiewce, w której ja okresami pracowałem) oraz od Andrzeja Witosa (który w roku 1944 był drugim wicepremierem PKWN, a od roku 1947 posłem na Sejm z ramienia mikołajczykowskiego PSL).

Przez okres około tygodnia konkurencyjne posterunki milicji istniały naprzeciw siebie i pełniły dzień i noc służbę bez zakłóceń. Stan napięcia trwał jednak nadal.

W dniu 8 sierpnia po południu jeden z żołnierzy naszego posterunku zawiadomił mnie, że przyjechał sowiecki komendant wojenny miasta Krasnegostawu ciężarówką pełną uzbrojonych enkawudystów i urządza zebranie na naszym posterunku, na które zaprasza mieszkańców Żółkiewki i pyta o komendanta tutejszego „bataliona”. Zrozumiałem, że coś zaczyna się dziać.

Gdy przyszedłem na posterunek w sali szkolnej, komendant „goroda” Krasnegostawu, kapitan NKWD Wasilewski, rozpoczął już zebranie. Obecnych było około stu osób (w tym około 8 ludzi z załogi naszego posterunku, z jego komendantem, p-chor. Janem Zdunkiem na czele).

Na zewnątrz kręciło się kilku enkawudystów uzbrojonych w pepesze. Miny mieli nieodgadnione. Przed posterunkiem stał duży samochód ciężarowy,

a w nim kilku enkawudystów. W niewielkiej odległości od budynku stało kilkadziesiąt osób, przeważnie „naszych”, ciekawych, co będzie dalej.

Kpt. Wasilewski, nerwowy, o bazyli-szkowatym spojrzeniu, mówił między innymi o konieczności pomocy dla frontu w postaci zaopatrzenia, naprawy dróg i zniszczonych mostów, podkreślając, że nadeszła oczekiwana przez nas chwila włączenia się ludności polskiej do działań wojennych przeciw Niemcom, następnie, w imieniu dowództwa frontu, wezwał wszystkich młodych mężczyzn z terenu Żółkiewki do wydania posiadanej broni i wstąpienia do wojska polskiego pod dowództwem gen. Berlinga. Na koniec zwrócił się do zebranych z pytaniem, kto tu jest komendantem „grażdzanskogo bataliona”. Odpowiedziałem, że to ja. Wasilewskiemu rozbłyły oczy, zakończył przemówienie, i od tego momentu zwracał się już tylko do mnie.

Zażądał, abym wydał żołnierzom placówki rozkaz złożenia broni na ręce Armii Czerwonej i wstąpienia do wojska polskiego, dowodzonego przez gen. Berlinga. Odpowiedziałem, że taki rozkaz wydam i sam pójdę do wojska, o ile najpierw otrzymam rozkaz w tej sprawie od mojego dowództwa, któremu podlegam już piąty rok, a konkretnie od mego dowódcy obwodu (powiatu) kapitana „Jeża” (Jan Wojtal).

Wasilewski wykrzyknął: – To bardzo dobrze, bo „Jeż” jest u nas, rozmawialiśmy z nim i na pewno taki rozkaz wam wyda.

Zdziwiłem się, gdyż wiedziałem, że od chwili wkroczenia Armii Czerwonej, „Jeż” pozmieniał wszystkie dotychczasowe punkty kontaktowe i ukrywa się.

Gdy Wasilewski dostrzegł moje niedowierzanie, począł zapewniać, że właśnie toczą się rozmowy na wyższym szczeblu w Lublinie (o czym słyszałem), a „Jeż” rozmawia z nim (Wasilewskim) co dzień w Krasnymstawie.

W teren przenikały wiadomości o rozmowach w Lublinie, a z radia wiedziałem, że premier Mikołajczyk polecał właśnie do Moskwy, na rozmowy ze Stalinem.

Uznałem więc zapewnienia Wasilewskiego o rozmowach z „Jeżem” za prawdopodobne, lecz nie byłem przekonany i odpowiedziałem jeszcze raz, że rozkaz o wydaniu broni i wstąpieniu ludzi z mego terenu do wojska muszę otrzymać bezpośrednio od swego dowódcy obwodu.

Na to Wasilewski „zapropował”: – Ludzie z posterunku z bronią i wy „Sfinks” pojedziecie teraz ze mną do Krasnegostawu, tam spotkacie się z „Jeżem” i od niego usłyszycie rozkaz.

Propozycja była nie do odrzucenia, gdyż:

1) nie znając dokładnie doświadczeń wileńskich z kontaktów i „rozmów” z Armią Czerwoną, gotów byłem uwierzyć w dobrą wolę i szczerą propozycję Wasilewskiego;

2) o stawianiu oporu w ówczesnej sytuacji wojskowo-politycznej nie mogło być mowy, gdyż Armia Czerwona wkroczyła jako sojusznik, znajdowaliśmy się w strefie przyfrontowej, a enkawudystów było z Wasilewskim kilkunastu.

Zapytałem więc specjalnie głośno, tak aby słyszało mnie około stu ludzi: – Jeżeli pojedę z wami wraz z ludźmi z posterunku, to kiedy wrócimy z tych rozmów?

Wasilewski odpowiedział równie głośno: – Wróćcie jutro tą maszyną

– i wskazał na ciężarówkę, którą przyjechał.

Zapytałem jeszcze: – Czy słowo sowieckiego oficera?

Odpowiedział: – Tak, słowo honoru (czestnoje słowo) sowieckiego oficera.

Wtedy powiedziałem: – W takim razie dobrze. Jedziemy.

W ciągu kilku minut załadowaliśmy się z 8 milicjantami (z bronią) i komendantem Zdunkiem do ciężarówki i pojechaliśmy do Krasnegostawu, gdzie przemocowaliśmy (bez kolacji, ale za to wśród pluskiew, a więc i bez snu) na posterunku tamtejszej milicji.

Na drugi dzień rano lejtnant Sasza, prawa ręka Wasilewskiego, wezwał i zaprowadził mnie i Zdunka „na rozmowy” do komendy miasta.

Wasilewski powitał nas uprzejmie, „postawił” litr spirytusu i talerz kiszonych ogórków, następnie wznosił toast „za swobodnuju Polszu”, a później „za družbu między naszymi narodami”.

Spirytus był okropny, gorzelniany, niereaktyfikowany i tylko dzięki zagryzaniu ogórkiem można go było przełknąć.

W tym wytwornym śniadaniu brał udział również lejtnant Sasza oraz milczący „pierwodczik”, który był w zasadzie niepotrzebny, gdyż rozumieliśmy się bez tłumacza.

Po półgodzinie ucztowania zapytałem, gdzie jest „Jeż” i kiedy przyjdzie, na co Wasilewski odpowiedział z jadowym uśmiechem: – Nie wiem gdzie jest, to wy go nam znajdziecie i przywieziecie. Zaraz wam dam maszynę i pojedziecie po „Jeża”.

Do tego momentu nie wiedziałem, jak się skończy ta rozmowa oraz czy jesteśmy aresztowani. Po ostatnich słowach Wasilewskiego zrozumiałem, że zosta-

łem perfidnie i bezczelnie oszukany. Zrozumiałem również, ile jest warte „czestnoje słowo” sowieckiego oficera. Ale nadzieja na zwolnienie jeszcze we mnie nie wygasła.

Odpowiedziałem, że wczoraj umawialiśmy się inaczej, że „Jeż” miał być tutaj, i że ja nie znam jego obecnego miejsca pobytu.

Na to Wasilewski wykrzyknął: – Jak to nie znacie! Przecież to wasz dowódca i musieliście się z nim gdzieś spotykać!

Odpowiedziałem, że ostatni raz spotkałem się z „Jeżem” około miesiąca temu, jeszcze w czasie okupacji niemieckiej, na punkcie kontaktowym we wsi Czysta Dębina i tam możemy pojechać.

Rozumowałem następująco: punkt kontaktowy jest od momentu wkroczenia Armii Czerwonej nieaktualny (o zmianie punktów dowódcy placówek zostali zawiadomieni), a ja wykażę „dobrą wolę” w poszukiwaniu „Jeża” i może nas zwolnią, byle tylko gospodarze punktu nie zaprzeczyli, że znają „Jeża” i że był on tam kiedykolwiek.

Wasilewski zgodził się.

Zdunek pozostał na komendzie (z nieodstępnym Saszą), a ja wraz z wysokim kapitanem NKWD Kapłunowem i dwoma bojcami pojechaliliśmy ciężarówką.

Po przejechaniu około 20 km zatrzymaliśmy się w Czystej Dębinie. Wysiedliśmy z Kapłunowem około 200 m od domu, gdzie kiedyś był punkt kontaktowy. Załatwiłem małą potrzebę fizjologiczną, nie spiesząc się, aby ludzie we wsi zdążyli się zorientować, że dzieje się coś niedobrego.

Weszliśmy z Kapłunowem do domu. Gospodyni zrozumiała moją sytuację i na moje pytanie, czy zastaliśmy „Jeża”, odpowiedziała, że nie ma go, że za

czasów „niemieckich” bywał tu często, ale teraz nie było go już ze dwa tygodnie i nie wie, kiedy będzie.

Kapłunow usłyszał, zrozumiał i mruknął „nu wierniomsia”. Podziękowałem gospodyni szczerze, bo powiedziała właśnie to, o co mi chodziło (inna sprawa, że mi się to nie na wiele przydało, ale to się okazało później) i w odpowiedzi na moje „do widzenia” pokiwała głową i powiedziała „niech Bóg prowadzi”.

Wróciliśmy do Krasnegostawu.

Wasilewski czekał ze Zdunkiem i Saszą.

Niecierpliwie zapytał, czy jest „Jeż”. Odpowiedziałem, że nie ma i powtórzyłem słowa gospodyni z punktu kontaktowego.

Kapłunow potwierdził moje słowa.

Wasilewski zmienił ton i rzekł ostro do mnie: – A na czorta nam „Jeż”? Ty sam wydasz swoim ludziom rozkaz, żeby zdali broń i wszyscy poszli „w armju”.

Odpowiedziałem, że ja sam mogę iść do wojska, ale takiego rozkazu ludziom wydać nie mogę, bo nas obowiązują rozkazy rządu londyńskiego.

Tu skończyły się „wersalskie” manieiry Wasilewskiego. Uderzył pięścią w stół, zaklął ordynarnie po rosyjsku i krzyknął: – Wy miecztajecie o londonskom prawitielstwie?! Ja wam pokażu, gdzie waszo miesto!

Zostawił nas ze Zdunkiem pod strażą Saszy, a sam zaczął w sąsiednim pokoju wydawać jakieś rozkazy.

Po pewnym czasie wrócił, wręczył Saszy grubą kopertę i rzekł ze złośliwym uśmiechem: – W nizu zdiot na was maszina. Wam nada pojechać w Lublin, w armju!

Pomyślałem, że to wcale nie tak źle, bo spodziewałem się czegoś gorszego. Wkrótce jednak okazało się, że w rzeczywistości czekało nas to „coś gorszego”. Mianowicie internowanie w obozie przejściowym na Majdanku, z którego (podobnie jak z innych obozów przejściowych) wywożono na wschód, do łagrów w ZSRR.

W ciężarówce czekało sześciu naszych milicjantów przywiezionych z posterunku w Żółkiewce (dwóch uciekło) i sześciu konwojentów z kierowcą. Oczywiście milicjanci rozbrojeni, a konwojenci uzbrojeni. W czasie jazdy przeświadczeni, że jedziemy do wojska, wspólnie śpiewaliśmy.

W Lublinie, po noclegu na gołych deskach, bez przykrycia i o głodzie, w koszarach 8-go pułku piechoty, dano nam wreszcie coś do zjedzenia. Była to zupa z zepsutych ryb, bez chleba. Po dwóch dniach niejedzenia (jeśli nie liczyć spirytusu z ogórkiem) dobre było i to.

Po przesłuchaniu nas (krótszym niż u Wasilewskiego), tamtejsze NKWD zwolniło sześciu naszych milicjantów, a mnie ze Zdunkiem skierowało, wraz z aktami, na Majdanek, na czwarte pole.

Przy wejściu, na strażnicy „miłe” powitanie i wprowadzenie w atmosferę: dokładna rewizja i wezwanie przez strażnika do zdjęcia butów i oddania jemu, „bo tam wam nie będą potrzebne”. Natychmiastowe pytania: „tam” – to znaczy gdzie? i dlaczego „niepotrzebne”? I wniosek: nie idziemy do wojska, tylko gdzieś „tam”. Skojarzenia jak najgorsze.

Nie zgadzam się, coraz głośniejsza kontrowersja, na szczęście wtrąca się jakiś oficer i każe wpuścić na pole w butach. Wniosek, że była to „prywatna inicjatywa” strażnika.

Po wejściu na pole odprężenie: miłe, inteligentne, polskie twarze. To 10-ciu

(na razie) oficerów sztabu 9-tej (podlaskiej) dywizji AK, od których dowiadujemy się, że nie jesteśmy przeznaczeni do służby w wojsku lecz jesteśmy internowani i prawdopodobnie będziemy uwiezieni na wschód, oraz że wyżsi oficerowie sztabowi ich dywizji są uwięzieni w siedzibie NKWD w Lublinie, przy ul. Szopena 18.

Wśród internowanych oficerów 9-tej dywizji znalazł się również adwokat z Warszawy, Wacław Osiński, którego spotkałem później, w roku 1948, w sądzie w Warszawie, po jego powrocie z ZSRR. Jeszcze później spotykaliśmy się w szkole języka angielskiego przy placu Zbawiciela oraz w Ministerstwie Kultury i Sztuki, gdzie Osiński był radcą prawnym.

Majdanek pod rządami sowieckimi dzielił się, podobnie jak za czasów niemieckich, na pięć pól: na pierwszym tworzył się polski „zapasny pułk” (w którym coraz to kogoś aresztowano), na drugim znajdowały się pomieszczenia administracyjno-gospodarcze (m.in. „bania” czyli łaźnia), na trzecim umieszczono jeńców niemieckich, na czwartym internowanych akowców, na piątym pozostawało nieczynne krematorium.

Od internowanych oficerów 9-tej dywizji dowiedzieliśmy się, że razem z Armią Czerwoną wyzwalałi oni Siedlce i Mińsk Mazowiecki, a następnie zostali rozbrojeni i internowani (czyli zastosowano wobec nich model wileński).

Baraki były wyposażone w zapluskowane piętrowe prycze, przykrywać się można było na noc papierowymi workami, co na razie jakoś wystarczało, bo było ciepło (sierpień).

Nędzne jedzenie przynosili 3 razy dziennie jeńcy niemieccy z sąsiedniego

poła: rano niesłodzoną, czarną, zbożową kawę i funt gliniastego chleba, w południe zupę z pokrzywy lub lebiody bez chleba i wieczorem kawę bez chleba. Niemcy próbowali nawiązywać z nami rozmowy, lecz bezskutecznie. Gdy przynosili jedzenie tworzyły się trzy wrogie, milczące grupy, z których każda była przeciwko obydwu pozostałym: internowani, strażnicy sowieccy i Niemcy. Ze strażnikami nieraz rozmawialiśmy w sytuacji my i oni, bez Niemców. Gdy pytaliśmy ich: – Kiedy nas zawiezicie do Katynia? – odpowiadali bez zdziwienia: – Pridiot prikaz – budżet Katyń.

Na drugi dzień po przybyciu na Majdanek zobaczyliśmy ze Zdunkiem przez druty dwóch naszych żołnierzy-milicjantów, zwolnionych po wczorajszym przesłuchaniu, jak proszą strażników koło wartowni przy wejściu, aby pozwolili im podać nam coś do jedzenia. Strażnicy zgodzili się, tylko pokrzykiwali: – Bystro! – Chłopcy podali nam przez druty dużą torbę wiśni (które bardzo smakowały całemu barakowi) i pytali, co powiedzieć kolegom w placówce. Zanim ich odpędzono od drutów zdążyłem przekazać im polecenie: – Niech dostarczą nożyce do cięcia drutów w dużym bochenku chleba!

Świtał mi w głowie plan przedostania się o zmroku i przed zamknięciem baraku na piąte pole, które nie było pilnowane. Druty nie były podłączone do prądu.

Wierzyliśmy, że koledzy o nas nie zapomną. I nie zawiedliśmy się.

Codziennie baraki na czwartym polu zaludniały się nowo przybyłymi internowanymi. Zaczynało być ciasno w barakach i na polu.

W dniu 15 sierpnia strażnik wezwał Zdunka i mnie do wartowni przy wejściu na pole. Było tam sześciu ludzi z komendy naszej placówki, obładowanych litrowymi butlami spirytusu i dużymi, prostokątnymi, białymi chlebami, pieczonymi na blachach. Tym właśnie butlom i chlebom zawdzięczaliśmy, że dwaj strażnicy pozwolili nam przejść przez bramkę na wartownię, „czoby pogaworrit z drugami”.

Strażnicy, młodzi enkawudyści, byli zdumieni obfitością spirytusu i białego chleba i z niedowierzaniem pytali, czy to wszystko dla nich.

Moje pierwsze pytanie do kolegów brzmiało: – W którym chlebie są nożyce? W odpowiedzi wręczyli Zdunkowi i mnie dwa wielkie bochenki. Trzymaliśmy je mocno, gotowi do powrotu do baraku.

Nagle niespodzianka i uśmiech losu.

Jeden ze strażników z przerażeniem w oczach zawołał: – A wot oficery idut. Uchoditje! Do wartowni zbliżało się wzdłuż drutów dwóch oficerów NKWD (widocznie inspekcyjnych), którzy gestykulując gwałtownie krzyczeli: – Won, precz otsiuda! Wsie!

Oceniliśmy w lot, że strażnicy nie przyznają się, że wśród cywilów na wartowni jest dwóch internowanych, przepuszczonych przez nich poza bramkę obozu. Zaczęliśmy wszyscy odchodzić, trzymając chleby z nożycami. Oficerowie w dalszym ciągu „rugali” strażników. Gdy znaleźliśmy się za fałdą terenu przesłaniającą widok z wartowni, przyspieszyliśmy kroku. Nikt nas nie gonił.

Tak oto niespodziewanie dla nas samych wydostaliśmy się z obozu i tak skończyło się moje pierwsze spotkanie z „wyzwolicielami”. Od kolegów do-

wiedziałem się, że nie doszło do porozumienia w toku rozmów Mikołajczyka ze Stalinem oraz że Powstanie Warszawskie trwa.

Zrozumiałem, że rozpoczynam drugą działalność konspiracyjną, tym razem przeciwko drugiemu okupantowi. Trwała ona do ujawnienia się we wrześniu 1945 r.

Z uczestników tej ostatniej przygody żyje jeszcze, oprócz mnie, dwóch ludzi: Jan Zdunek (pseud. „Zamorski”) – w Kolumnie pod Łodzią i Włodzimierz Wasilewicz (pseud. „Leon”) w Warszawie.

Jak się dowiedziałem od towarzysza niedoli z jednego baraku, spotkanego parę lat później po jego powrocie z ZSRR, adwokata Wacława Osińskiego (już nie żyje), NKWD wpadło na jeszcze jeden nie stosowany dotychczas pomysł udręczania i poniżania internowanych, mianowicie: w dniu 23 sierpnia odjechał z Lublina pierwszy kolejowy transport na wschód do łagrów w okolicach Riazania, gdzie byli już wileńscy akowcy. Przed wyjazdem zaprowadzono przewidzianych do transportu do łaźni. Nie było to jednak podyktowane troską o higienę delikwentów, bo kiedy puszczono na nich zimny prysznic (cieszyli się i z tego), to pozostawione przez nich ubrania (a niektórzy mieli kompletne polskie mundury wojskowe) zamieniono na postrzelane i pokrwawione, zdarte z trupów mundury niemieckie. Po kąpielu nie było wyboru dla golasów. Musieli coś na grzbiet włożyć.

Skutek był taki, że w czasie jazdy pociągu i na postojach, gdy internowani, ubrani w niemieckie mundury, prosili ludność polską, a później białoruską, o chleb, wodę lub jabłka, to rzucano

w nich kamieniami, z okrzykami: – A zdychajcie szwabysy! Takie to wesołe „szutki” urządzali sobie enkawudyści.

Takimi transportami z wielu obozów przejściowych wywieziono latem i jesienią 1944 r. do łagrów na wschodzie tysiące oficerów i żołnierzy AK i BCh oraz członków delegatur wojewódzkich i powiatowych z Lubelszczyzny, Białostoczczyzny, Rzeszowszczyzny i okolic Lwowa. Wywózki z Wileńszczyzny i Nowogródzczyzny zaczęły się najwcześniej.

I jechali na wschód do nieludzkiej ziemi, na głód i chłód, choroby i poniżania Polacy, których winą było to, że chcieli być gospodarzami we własnym kraju.

* * *

Na koniec kilka mało znanych szczegółów na temat wspaniałej postawy i losów dowódcy okręgu lubelskiego AK, generała Tumidajskiego (pseudonimy: „Marcin”, „Grabowski”), ze sztabem oraz delegata rządu na województwo lubelskie, Władysława Cholewy (pseudonimy „Łukasz”, „Paśnik”) z najbliższymi współpracownikami.

Wiadomości o tych szczegółach uzyskałem od osób najbardziej miarodajnych, bo od uczestników rozmów z 1944 r., mianowicie od Władysława Cholewy (z którym rozmawiałem w roku 1948, po jego powrocie z ZSRR) i od Andrzeja Witosa, byłego drugiego wicepremiera PKWN (z którym rozmawiałem w tym samym roku).

Rozmowy pomiędzy komendą okręgu lubelskiego AK i delegaturą rządu z jednej strony a sztabem marszałka Żukowa i PKWN z drugiej toczyły się na przełomie lipca i sierpnia 1944 r., tuż przed i tuż po wybuchu Powstania Warszawskiego.

Strona sowiecko-pekawuenowska zażądała oddania wszelkiej broni i sprzętu wojskowego, którym w okręgu dysponowali żołnierze AK i BCh do rąk władz wojskowych sowieckich, wezwania wszystkich żołnierzy AK i BCh okręgu do pójścia do wojska polskiego pod dowództwem generałów Żymierskiego i Berlinga, uznania władzy cywilnej PKWN i zdominowanych przez PPR rad narodowych.

Komenda okręgu i delegatura nie zgodziły się na przyjęcie powyższych żądań. Wiedząc jednak, że Mikołajczyk jedzie do Moskwy na rozmowy ze Stalinem i że możliwe są jakieś uzgodnienia oraz chcąc zyskać nieco na czasie, strona polska oświadczyła, że w tak poważnych sprawach chciałaby porozumieć się drogą radiową z rządem i dowództwem w Londynie, i uzależnia swoje ostateczne stanowisko od stanowiska Londynu, gdyż chodzi o sprawy zasadnicze, o których nie można decydować na szczeblu wojewódzkim. Strona sowiecko-pekawuenowska zgodziła się na to i zaproponowała udostępnienie swojej radiostacji, co nie zostało przyjęte przez stronę polską.

Stanęło na tym, że strony spotkają się za tydzień, na rozmowie ostatecznej.

Londyn, jak było do przewidzenia, polecił, aby nie godzić się na żądania strony sowiecko-pekawuenowskiej.

Strona polska odbyła naradę na temat: czy stawić się na ostateczną rozmowę czy nie? Dylemat był poważny. Andrzej Witos mówił mi, że po zakończeniu pierwszego spotkania powiedział po cichu do Wł. Cholewy: – Jeżeli nie zgodzicie się na wysunięte żądania, to lepiej nie przychodźcie na ostatnią rozmowę,

bo w razie waszej negatywnej odpowiedzi pojedziecie na wschód i nie wiadomo, czy stamtąd wróćcie.

Mimo tego ostrzeżenia, komenda okręgu i delegatura postanowiła jednomyślnie stawić się na ostateczną rozmowę i odrzucić żądania strony sowiecko-pekawuenowskiej.

Jak mi mówił Wł. Cholewa w r. 1948, decyzja powyższa miała na celu wykazanie otwartości i dobrej woli strony polskiej oraz samodzielności i suwerenności władz Polski niepodległej na swoim terenie. Chodziło również o udowodnienie opinii światowej, że raz ujawnione władze polskie nie chcą schodzić do podziemia i są gotowe współpracować z „sojuszniakiem” sowieckim dla potrzeb toczącej się wojny, ale nie na warunkach kapitulacji wobec tego „sojuszniaka” i całkowitego podporządkowania się mu.

Generał K. Tumidajski i Wł. Cholewa z najbliższymi sztabami stawili się na decydującą rozmowę i zakomunikowali stronie sowiecko-pekawuenowskiej swoje ostateczne stanowisko.

Jak było do przewidzenia, zostali aresztowani i w dniu 6 sierpnia 1944 r. wywiezieni najpierw do więzienia „lefortowskiego” w Moskwie, następnie do Charkowa, a później do obozu w Diagilewie koło Riazania.

Generał „Marcin” Tumidajski zmarł w lipcu 1947 r. w szpitalu więziennym w Skopino, w czasie przymusowego karmienia, gdy rozpoczął głodówkę protestacyjną, natomiast Władysław Cholewa powrócił w listopadzie 1947 r. bardzo schorowany, pracował na podrzędnym stanowisku w spółdzielczości i po kilku latach zmarł.